

Syrokomla Władysław

DWIE GAWĘDY

Spowiedź
Pana Korsaka
Chorążego płockiego.

SPOWIEDŹ PANA KORSAKA.

I.

Xiądz Dominik Podolec — jak ze skryptów widzę — Był Jezuitą w
Krożach, w Połocku
i w Rydze ;Nie nazbyt tęga głowa, lecz poczciwa dusza, Cały wiek
przekołał w
stopniu socyusza. Lekce go wazą bracia i starszyzna cała Począwszy od
Rektora aż
do Jenerała; On z wesołem obliczem, w wytartej czamarze, Bez
szemrania był
wszystkiem, co starszyzna każe:

Ogrodnikiem na lato, szafarzem na zimę,
Uczył Sintaxim w Krożach, w Nieświeżu Infimę,
Słowem , mimo przykrości, mimo wszystkie ciernie,
On wszędzie szedł ochoczo , działał prawowiernie,
Nie śmiejąc się gdy wesół, nią płacząc gdy boli,
Nosił w prostocie ducha sukienkę Lojoli.
Jużci — grzech mu zaprzeczyć, że dusza pobożna,
Lecz jak mówił xiądz Rektor : „Gorliwszym być można:
„To jakoś do wziętości u ludu pomaga,
Modląc się wznosić oczy jak święty Gonzaga.
Niezgorszy jesteś mówca, ale prostak z Waści,

A kiedy się polszczyzna łaciną namaści,
Zaraz mówią słuchacze:— to mi erudyta!
Figura retoryczna aż za serce chwyta!
A Waść co? gdy spowiadasz, to naród się ciśnie,
Ale to dla zakonu idzie bezkorzystnie.
Widząc, że już na serce działa skrucha święta,
Czyś zyskał choć jednego w świecie penitenta,
Coby tknięty do gruntu twojemi przestrogi
Uczył Zakonowi zapis choć ubogi?
Jaka nam z ciebie korzyść? i pociecha jaka?"
Tak bywało xiądz Rektor spowiada prostaka,

A biedny xiądz Dominik kłania się z pokorą, I przyrzeka poprawę —
lecz mu nie
szło sporo.
Jużto.... co miał pod sercem to gadał bezwzględnie, Gdy mówił świętą
prawdę, to
aż ucho wędnie, Kiedy usiadł za kratkę, to wszelki wzgląd
znika, Pokutnik
popamięta ojca Dominika; Czy to ubogi rolnik, czy szlachcic z
Waszmości, Sto
pacierzy odprawi, sto piątków odpości. Xiądz nie wyłudzał ofiar
namową
figlarną, Lecz po prostu nazywał co biało, co czarno; Niepamiętny na
względy, co
komu należą, Zajazdy zwał rozbojem, processa kradzieżą; Każdego we
łzach skruchy
tak skapał przykładnie, Że grzesznik popamięta nim w grzechy
upadnie — Wiedzieli o
tem dobrze i wielcy i mali, Nie wiem czy go lubili, ale szanowali.
Tak bez żadnych godności, z dziwaczną naturą, Dokołatał w
klasztorze lat
sześćdziesiąt z górą; Wiek już zbielił mu głowę i przytępił oczy, —
Lecz starzec do
roboty jak młodzik ochoczy, Gdzie się potrzeba udać — nim drudzy
pośpieszą,

Rusza ojciec Dominik, a najczęściej pieszo,

(Bo tak już uradzili zakonni ojcowie,
Że staremu przechadzka posłuży na zdrowie).

II.

Raz na takiej podróży, przed samą już nocą, Szedł stary xiądz
Dominik: — a dokąd
i po co?
O tem milczy kronika, z której powieść bierzem — Szedł zajęty
myślami, czy
świętym pacierzem, Chciał zrobić jeszcze milę o wieczornym
chłodzie, A potem
zanocować w jakowej gospodzie,
A jutro do podróży nim słońce zaświta. — Droga szła między bujne
pszenice i
żyta, Przez groblę aż pod krzyż" i pod uschłe drzewo; Na prawo były
pola, a
wioska na lewo. Z wioski go dolatywał rozgwar niedaleki,
I wionął rzeźwy chłodek z jeziora czy rzeki, Aż przypomniał Wirgila
stary
Jezuita,
I powietrze wioskowe z upojeniem chwyta, By starą pierś odmłodzić.

Wtem opodal krzyża
Ujrzał, że jakaś postać k' niemu się przybliża: Bieży co siły starczą
jakiś dziad
wioskowy, Słomiany mu kapelusz ulatuje z głowy, Lecz stary nie
uważa — znać ból
tego człeka, Bo ręce załamuje i krzyczy z daleka: „Xiężo ! pośpieszaj!..
prędzej !
bież co siła zmoże! Kona mój syn jedyny... o Boże mój, Boże ! Gdzie
tam syn?! — to

mój anioł i zawsze i wszędzie — Dla rodzonych ojca żaden syn nie
będzie Czem ten
człowiek był dla mnie,.. w miłości, w posłudze; Bo proszę Jegomości
— to jest
dziecko cudze, Lecz kochał mię , pracował, ach! pracował
szczerze! Pan Bóg go
prysłał do nas — i Pan Bóg go bierze, Taki młody... a wszelka
nadzieja
stracona.... Prędeż... prędeż... Jegomość! bo może już kona, Bo go
kaszel
suchotny do reszty zakrztusi, A biedne jego serce przygnębiać coś
musi!.. "Tak
woła stary wieśniak, piersi nie oszczędza, I pada rozpaczliwie tuż przy
nogach
xiędza — „Prędeż śpiesz go rozgrzeszyć,.. bo życie ucieka! Moja chata
przy
drodze... ot widać z daleka...

Widać... goreje w oknie światło od łuczywa.... Mój Boże!., on tam
jęczy, on tam
dogorywa!"

III.

Takiej rozpaczy czarodziejska władza — Xiędz Jezuita spojrział na
ognisko, I jednym
skokiem już przez rów przesadza, Bieży przez mokrej łąki
grzęzawisko, Zda się, że
starzec zolbrzymiał na sile — Zkąd taka lekkość i oddechu tyle? Aż
stary wieśniak
zawołał przelektły Patrzac na xiędza: "Stój, stary junacze! Tożby się
piersi
młodzieńcze rozpękły — Jak on przez pole poorane skacze! W
człowieku taka nie może
być siła, Toć chyba Pan Bóg Anioła przysłał !"

Tymczasem kapłan odmłodzony prawie
Wchodzi do chaty w pobożnej
otusze: Tam młody
wieśniak na szerokiej ławie
Jęczy i Bogu poleca swą duszę;

Przy nim niewiasta płacząca boleśnie
Trzyma gromnicę i wywodzi pieśnię.
Lecz konający przy blasku łuczywy
Gdy ujrzał xiędza — wzrok mu się rozżarza;
Podniósł się z ławy, a rumieniec żywy
Przebiegł po żółtem obliczu Łazarza;
I głosem drżącym, co z pod serca płynie,
Powitał xiędza... aż się ten przełęknie,
O cudo!..., wieśniak mówi po łacinie,
Mówi z zapalem, poprawnie i pięknie.

IV.

„Na smutnej życia mego drodze
Drugi raz, Ojczy, ciebie
znachodzę. Czuję nadzieję
w sercu tajemną, Ze łaska Boża czuwa nade mną. Możoś zapomniał
jako przed
laty Dziecko zbrodnicze zbytkiem zepsute
Skazał na ostrą, ciężką
pokutę; Dzisiaj
przychodzisz do wiejskiej chaty

Przypomnieć życia mego koleje,
Obaczyć co się z sumieniem dzieje, I
w
Miłosierdziu, co granic niema,
Rozgrzeszyć ciężką zbrodnię
Kaima. Pokutę twoją w
szlachetnej pysze
Miałem za twardą, dziką, dziwaczną. Lecz tu
modlitwa, praca,
zacisze, Przyniosły duszy pociechę znaczną; Już w sercu czuję
niebieską

radość, Czuję przy sobie stróża Anioła. Łzy moich oczu, pot mego
czoła Czyżby już
Bogu uczynił zadość Za moją zbrodnię? — Powiedz mi, xieże, Czy mię
rozgrzeszysz w
samej istocie? A wszelką bojaźń śmierci zwyciężę, Umrę jak Dyzma
łotr na
Golgocie, Którego ciężkie sumienia rany Uleczył Chrystus
ukrzyżowany."

V.

Tak mówił konający — a starej kobiecie Łzy leją się po licach, głos
tamuja żale —
„Och! biedny, biedny Kuźma ! on w gorączce plecie, Gada świętą
łacina jakby xiadz
we mszale. Wkrótce stanie przed Bogiem, gdzie my wszyscy
staniam: Boże! ulżyj tej
duszy przytomnym skonaniem!" Tak mówiła niewiasta zawodząc w
rozpaczy, I starzec
wszedł do chaty i załamał ręce. „Matko — rzekł Jezuita — chory nie
majaczy,
Pozwólcie, ja mu chwilę rozmowy poświęcę; W stygnących jego
piersiach snadź Duch
mówi Boży, Dajcie niech przed kapłanem sumiemi otworzy." Więc
kmiotkowie poklękli
i patrzą ciekawie, Tłumem do progu chaty zeszli się sąsiedzi, Xiadz u
głowy
chorego zasiadłszy na ławie, Przeżegnał go — odmówił modlitwę
spowiedzi; Młodzieniec podniósł głowę orzeźwion widocznie, I znowu
po łacinie tak
mówić doń pocznie:

VI.

„Przez całeś twoje życie, miłościwy xiężu,
Wyrzuciał z piersi ludzkich robactwa i węże,
Grzech albo zbrodnię tajoną;
Więc nie dziw, żeś grzesznika nie poznał w tej chwili ;Czy cię pamięć
zawodzi,
czy mój ubior myli,
Nie przypominasz mię pono.
Lecz pomnisz, kiedy w kraju plądrowali Szwedzi,A rycerstwo przed
wojną biegło do
spowiedzi,
Znając, że w bójce śmierć czeka;Wtedy — tutaj na Litwie —
przypominasz może,Jak
przed kratką młodzieniec w pancernym ubiorze
Wyznał, że zabił człowieka.
Ja byłem tym zbrodniarzem co na zgubę dąży, Młody Kazimierz
Korsak Potocki
Choraży,
Pan mnogich zbiorów i włości ;Rozhukany w szlacheckich
rówienników kole,Nie
znałem żadnych granic na moje swawole,
Ani wędzidła dzikości.

Poszargawszy uczucia szlachetne i piękne,Wierząc, że kędy zechcę,
gdzie groszem
zabrząknę,
Żadna przeciwność nieznana.Lecąc przez namiętności szerokie
bezdroje,Pokochałem
w mej wiosce jedno dziewczę hoże ,
Grzeszną miłością szatana.Ale któżby uwierzył? (o wstyd i
sromota!)Mimo czułe
zaklęcia, mimo góry złota,
Dziewicze serce jak skała;
Nad hojne obietnice, nad pańskie namowy,
Droższym był pięknej Hannie parobczak wioskowy,
Którego dawno kochała.
Więc piekielne w mych piersiach wylęgły się jędze;Jakto!... jedno

pachole...jeden chłop w siermiedze
Ma mi zawadzać w rachubie? Albo musi ustąpić, lub biada mu,
biada!Przysięgam na
mój pałasz, na herb prapradziada,
Współzawodnika zagubię!
W duszy zbrodniczy zamiar dojrzewa pomału.Raz.... było to na
łowach.... na sam
cel wystrzałuOn stanął przed okiem mojem;

Dłoń mi drgnęła ku strzelbie, i za kurek cisnę,I niby od niechcienia, w
piersi
nienawistne
Gruchnąłem ostrym nabojem....Padł... zawołał ratunku, lecz ratunek
próżny...A
ludzie powiedzieli, że był nieostrożny,
Że snuł się gdy strzelać pora,I pogrzebli przy drodze śmiertelne
ostatki ;A to
był syn jedyny u ojca, u matki,
Jedyna chaty podpora.
Po nim nieszczęsna matka i kochanka płaczą,Ojciec młodego pana
przeklinał z
rozpaczą —
Lecz co umarło nie wskrześnie.
A zabójca już nie miał spokoju na ziemi, Bo mię widmo wieśniaka z
pierśmi
skrwawionomi
Ściga na jawie i we śnie.Czy spełniam wpośród uczty biesiadne
koleje,Stary
węgrzyn w kielichu szumi, czerwienieje —
Krwia trąci kielich i wino;
Czy w tańcu, kędy dziewy i młodzieńcy świetni —Słyszę w wesołych
tonach
skrzypicy i fletniBoleśną rozpacz matczyną.

Zamiast w męczarniach duszy konać niespokojnie, Szedłem
zbrodniczą głowę położyć
na wojnie ;
A gdym się szarpał w tym stanie, Przyszedł rozkaz hetmański wśród
bojowej
chwili, Aby wszyscy pancerni spowiedź odprawili —
Tam cię poznałem, kapłanie.

VII.

„Powiedziałeś mi wtedy:— pomnę każde słowo: — Nie dosyć
gorzkim żalem, pokutą
surową Błagać o przebaczenie miłosierne Nieba; Za ten grzech naprzód
ludzkość
przebłagać potrzeba. Nic tu pokutna włosień, nic szaty pielgrzymie,
Nie w
Siedmiogórnym Rzymie , nie w Jerozolimie, Zadosyć - uczynienia
chce kościelna
władza; Tam tylko gdzie zgrzeszyłeś niech się grzech zagładzą. Nie
powiem: odejdz
w Panu! zgładzona twa wina, Dopóki stary ojciec mordercę
przeklina: Patrzaj — tam
jęczy starzec na wiejskim zagonie, Pot ze krwią pomieszany oblewa
mu skronie;

Już go tam wyręczała synowska posługa , Zniechęciły starzec
odwyknął od pług
; Dzisiaj daremnie liczy na siłę zdradliwą, Woły go nie słuchają i pług
idzie
krzywo ; Pada dziad siwobrody w trudach i boleści, Już go syn nie
zastąpi, ni wnuk
nie popieści. Tyś niebaczny morderco, za jednym
wystrzałem Zamordował rodzinę i z
jej szczęściem całem, Ojcaś przywiódł do nędzy, matkę do rozpacz, I
mniemasz, że

ci Pan Bóg tak łąco przebaczy? O! choćbyś progi świątyń porozbijał
głową; Choćbyś
jadł tylko piasek i trawę surową, Choćbyś poszedł do Rzymu i boso i
pieszo ,Nie
rozgrzeszę cię pierwszej aż oni rozgrzeszą. Zrzuć ten pancerny ubiór, co
na tobie
błyska, Zapomnij szlacheckiego herbu i nazwiska, Wdziej włosiana
siermięgę jaką
noszą chłopi, Przepasaj twoje biodra powrozem z konopi, A pójdz do
twojej wioski,
dziedzicu bogaty, Na służbę wyrobniczą do sierocej chaty, Tam
straconego syna
zastępując szczerze, Poświęć całą usilność sosze i siekierze;

A gdy po długich leciech, po mozolnej pracy, Przyznają cię za syna
zgrzybiali
wieśniacy, Wtenczas upadniesz do nóg i matki i ojca, Wyznając, żeś
ich dziedzic,
żeś syna zabójca, A gdy grzech i pokutę uznają przytomni, Gdy ci
ojciec przebaczy,
gdy matka zapomni, Wtedy w kratę spowiedzi zapukasz swobodnie, A
ja w Imię
Chrystusa odpuszczę ci zbrodnie.'

VIII.

Skruszon odszedłem od krat spowiedzi, Ale w obozie pierzchnęła
skrucha. Xiądz,
myślę sobie , Bóg wie co bredzi, Któż tam dziwaka usłucha? Tylkoby
ze mnie, z mego
nazwiska Był w całym wojsku cel pośmiewiska; Tożby się śmieli
jeździ i
pieszy, Wszyscy Sarmaci, wszyscy Litwini! Szlachcic zazwyczaj
orężno grzeszy—
Niechże orężno pokutę czyni.

A za występki ja zbrodniarz młody
Będę Niebiosom czynić zadosyć
,Suszyć do
śmierci piątki i środy
I włosiennicę drócioną nosić.
Kiedy błyszczącą
przywdzię
zbroję,
Nikt nie odgadnie, nikt nie wybada,
Że robak żalu zre piersi
moje,
Że ostry
bodziec ciało przejada:
Bo czyż koniecznie zbawi mi duszę
Wioskowa chata, gruba
sukmana!
—Szlachcie przechodzić na plebejusze —
Pokuta dziwna i niesłychana!"

IX.

„Tak mniemałem złagodzić zbyt ostrą pokutę,
Nie zniżyć się do gminu
, a udęczać
ciało ;
Ale serce rozpaczą i zbrodnią zatrute
Trwożliwie w piersiach pukało.
I bladłem kiedy sygnał do boju
posłyszę,
Że tu
przyjdzie położyć potępioną głowę;

Czy w wesolej gromadzie szumią towarzysze,
Ja słyszę jęki grobowe.

W nocy pragnąłbym zasnąć, lecz próżne nadzieje,
Choć zda się, unużyła całodzienna
praca;
I marzyłem, że trunkiem frasunek zaleję,
Lecz wino w krew się obraca.

A gdy stoję na czatach w polu czy na łące
I słyszę pieśń zniwiarzów swobodną i
błogą,
To mi serce tak bije, że aż ręce drżące
Włóczni utrzymać nie mogą.

A kiedy pęka serce — gdy się myśl rozmarza,
..Rzucam włócznię i polem jak

szalony pędzę, I zazdrościłem szczęściu wiejskiego żniwiarza
W jego wełnianej
siermiędze.

Tom się karmił nadzieją, że pychę zwyciężę I szlachecki złotogłów na
sukmanę
zmienię ; To przeklinałem ciebie, miłościwy xiężę, Żeś mi rozdrażnił
sumienie.

X.

W takich męczarniach raz mi się zdarza Otrzymać rozkaz
regimentarza, Bym we sto
koni wyruszył — zbliżka Rozpoznać Szwedzkie obozowiska. Ruszam
pod wieczor — i w
tejże chwili Moi pancerni Szweda złowili; Nuż go się pytać — a on nas
mami, Że jego
wojsko gdzieś za górami, Gdzieś za rzekami, w niewielkiej sile Ztąd
obozuje o
cztery mile. A więc z powziętej radzi pogłoski Idziemy na noc do
blizkiej
wioski; Tam w dymnej chacie, na wiązce siana Usnęła nieco głowa
znękana.
Alić nad rankiem, gdy jeszcze ciemno, Sygnał bojowy zagrał
nademną; Budzę się,
zrywam, przywdziewam odzież; Szwedzi już w wiosce, a nasza
młodzież

Już się uciera, słyszę z oddali, Kopije kruszy i z rusznic pali.
Rzucani się na koń, daję rozkazy, Lecz siły Szedzkie o dziesięć
razy Większe od
naszych.

Ale w rozpaczy

Żaden z pancernych tego nie baczy, Lecz na kark wrogom wali się
szczyrzel szyki
łamię i jeńce bierze. I zaczęł oboz usłyszał cały Nasze sygnały, nasze
wystrzały, Nim dobiegł Hetman z posiłki swemi—Już trupy
Szwedzkie legły na
ziemi; Reszta pierzchając pali w kopyta, Już piękna jutrznia na niebie
świta: Spojrzę na siebie — cóż to ? mój Boże! Zamiast w pancernym
błyszcząc
ubiorze, Zbudzony ze snu bojowym strzałem, Proszą siermięgę,
chłopską
przywdziałem, I w tej siermiędze — syty zdobyczy Zyskałem piękny
laur bojowniczy.

XI.

Gdy nasi pieją pieśnię pośród bojowiska, Gdy mi Hetman dziękuje i k
sercu
przyciska, Ja upadłem — i ziemię uderzając czołem, W głębi mojego
ducha rozmyślać
począłem: Czy trafem się przywdziała wieśniacza sukmana, Czy może
palcem Bożym
dobitnie wskazana, Bym poświęcony pracom, obleczon w
pokorę, Potłumił straszne
piekło, co mi w piersiach gore. Och ! dotąd cóż sny moje? co moje
czuwanie? Jeden,
wciąż jeden widok dręczy nieprzerwanie: W lesie skrwawiony
wieśniak na sosnowej
kłodzie, Konającym spojrzeniem aż mię nawskrós bodzie; Świszcze
krew z jego
piersi, oczy mu zalewa; Ojciec, matka, kochanka, skupieni u
drzewa Jęczą grobowym
głosem — ja słyszę ich żale W pluchotaniu jeziora, w bojowym
sygnale, Słyszę go w
dziennym gwarze i w nocnej zaciszy, I w hulackiej piosence moich
towarzyszy.

Bóg was zegnaj obozy i zwycięstwa moje! Chyba w głuchej pustyni
serce
uspokoję. Tak pożegnawszy wojnę i mój tryumf świeży, Poszedłem
pokutować do puszczy
Białowieży, I tam w gęstwini jodeł kędy ścieżka znika Rozpocząłem
surowe życie
pustelnika.

XII.

„Jak zbawienie moje witam las ponury — I w wąwozie leśnym,
między dwiema góry, Pod
sosnowym karczem, pod granitu głazem, Wykopałem dla się grób i
chatę
razem, Wysypałem łoże piaszczyste, darniowe, Zawiesiłem nad niem
krzyż i trupią
głowę. Tam na twardym żwirze od nocy do rana Klęcząc na modlitwie
krwawiłem
kolana; Od ranka do nocy skulony na ziemi. Jątrzyłem sumienie
myślami gorzkiemi; Za
napój z potoku garściami wodę biorę, Gryzę liść brzeziny i dębową korę,

I tak wciąż się modlę i tak ciało dręcę, Że w tydzień opadły me siły
młodzieńcze.

A jednak w modlitwie, w czuwaniu i poście Nic duch się nie krzepi,
otucha nie
roście, Nie zjawia się spokój, ni święta swoboda, Bo grzech mój za
ciężki, bo
dusza za młoda ; Drga serce w torturach wewnętrznej męczarni, A
myśl rozpaczliwa
do głowy się garnie. O! łatwiej starcowi, łatwiej eremicie Prowadzić na
puszczy

bogobojne życie ;Młodociane serce w inszy takt kołata,Potrzeba dlań
uczuć,
potrzeba dlań świata:Niech dźwiga ciężary, niech trudy pokona,Niech
czyny
olbrzymie wykwitną, mu z łona,A wtenczas jak święty umocni się w
wierze,I
wtenczas znaczenia modlitwy nabierze,I miłość młodzieńcza i święta
otuchaI czyn
jego ramion i myśl jego ducha.

XIII.

Jam tych prawd nic rozumiał, i mnie się zdawało,Że chcąc ducha
rozwinąć trzeba
zgnębić ciało,Że gdy je całkiem zgnębię, że gdy zamrę w
czynie,Doskonalsza
modlitwa z mej piersi popłynie,Że szatan nie dosięże, gdy od niego
stronim.—
Passowałem się z sobą jak święty HieronimNa bezludnej pustyni —
lecz w tych
walkach zgołaNie wyszedłem zwycięzcą jak Doktor Kościoła.Duch
mój pada —
lepianka cielesna się kruszy,Bom nie obliczył zdrowia ni sił mojej
duszy;Usta z
głodu zczerniały, pierś pragnieniem gore,Straciłem w rękach siłę i w
nogach
podporę,Gdzie spójrzę, krwawe pręgi latają koło mnie,Myśl wyteżona
k'Niebu rwie
się bezprzytomnie;Zapomniałem kto jestem? gdzie jestem i po
co?Tylko głowa coś
marzy, usta coś bełkocą,Aż w dzikim szumie lasu sen objął mię
złoty,Utraciłem
poczucie mej własnej istoty.

XIV.

Palon gorączką nie pamiętam zgoła
Jak wiele czasu przetrwałem w
tym stanie. Kiedym
się ocknął — poglądam dokoła:
Jam w wiejskiej chacie złożony na
sianie, A nad mą
głową, czy widzę, czy marzę,
Zwisły dwie ludzkie nieznajome
twarze. — W lnianej
odzieży jasnooka dziewa,
Zarumieniona, to naprzemian blada,
Pot mi ociera, do ust
napój wlewa, I patrzy w oczy jakby życia bada.
Półwieczny wieśniak
siedzący koło
niej, Mego oddechu z natężeniem słucha:
Pokiwał głową, podparł się
na dłoni, I
buchnął dymem z krótkiego cybucha.
Twarz ogorzała, wąsata,
brodata, Lecz słodki
uśmiech po czole mu lata;
Na silnych barkach miał sukmanę
siwą, Borsuczą torbę i
przykrycie głowy;

U jego pasa był nóż i krzesiwo
I na rzemieniu kręty róg wołowy.
Patrzę się pilno.... mniemałem, że roję,
Badam, czy żyję — lecz serce kołata,
Chcę mówić — słowa rozległy
się moje: „Kto wy
jesteście? i jaka to chata?
Czemu nie jestem w pustelnej
pieczarze? Czym ja
przytomny, czy ja we śnie marzę?”

XV.

Rzekł mi: „Ja jestem tutejszy gajowy,
A Wasza Miłość nie wiem kto
jesteście. Leżałeś w lesie bez ducha,
bez mowy Całą godzinę —
zagadałeś
wreszcie Cóż bezprzytomnie,
niby przy fortecy Rycerz zajęty
bojowem rzemiosłem;
Widząc, żeś chory, wziąłem cię
na plecy I do mej chaty,
do córki

zaniósłem. Tutaj na sianie, to spałeś jak drewno, Toś sobie jakieś
przypominał
zbrodnie.

Tak między życiem a śmiercią już pewną, Myśmy was strzegli — całe
dwa tygodnie. A
człowiek jakoś na puszczy dalekiej Zna różne ziółka i kwiatki i
trawy, Wziąłem cię
leczyć... i Pan Bóg łaskawy, Ot, jakoś proste powiodły się leki. Kto
Waszmość
taki, nie pytam się o to, Boś jeszcze słaby, a mnie czas do
dzieła; Znaczno żeś
szlachcic — ej młoda słaboto! Podziękuj Bogu, że niemoc minęła!"

XVI.

Tak, kędy serca proste, chata cicha, ciepła, Choroba przemijała a dusza
mi
krzepła; Zszedłem z łoża niemocy. — Dni za dniami biega, I chciałem
już opuścić
chatę gajowego, Iść gdzie oczy poniosą na rozstajne szlaki, Wybrać
sobie pustynię
albo klasztor jaki, I tam resztę żywota spędzić na pokucie : Lecz tu mię
zatrzymało wdzięczności poczucie;

On mi życie przywrócił, on czuwał nad chorym, Grzechby ciężki tak
prędko rozstać
się z Hrehorym; Ile ręce umieją, ile siła starczy,
Postanowiłem dzielić ich trud gospodarczy. A to już była jesień —
pomiędzy polany
Pustował w dzikim borze grunt niepoorany, Bo gajowy pod starość
rozleniwił
trochę, Wolał pieski i strzelbę, niż woły i sochę; Więc mi przyszła
ochota, dziej

się Boża wola! Poorzę mu jak umiem choćby zagon pola, Przez to
szlachecka ręka nie
zhańbi się srodze.— Potem zboże posieję i płotem ogrodzę; Jesień tu
popracuję, a
w zimowej dobie Odejde, zostawiwszy pamiątkę po sobie. Jak się
rzekło, tak stało —
zrazu trudy marne: Socha była mi ciężka, a woły
niekarne, Niewprawnymi rękami
wiedzion pług zębaty, Kroił ziemię w gzygzaki i w podarte szmaty. Ale
z pracą i na
to znalazła się rada; Już się w równiejsze skiby mój zagon
układa, Oswoiła się
ręka z siekierą i z broną, I grunt mego zasiewu zaruniał zielono;—

A Hrehory i nierad i rad, że mu służe, Przepraszał mię, szlacheckiej
dziwił się
naturze, Wybadywał kto jestem? czy rodem ztąd blisko? Chciał
wiedzieć me przygody
i moje nazwisko., „I na cóż wam — mówiłem — moje straszne
dzieje? Pozwólcie, niech
pracuję, niech nie leniwieję, Niech dla ciebie poświęcę me siły
młodzieńcze, Za
życie, za czuwanie, za chleb się wywdzięczę!” Tak zbywałem pytania
— a szkodując
czasu Szedłem z sochą na pole, z siekierą do lasu; I tutaj w pocie czoła
wśród
modlitwy Bożej, Och! gdyby spokój ducha byłoby niezgorzej.

XVII.

„Hrehory miał córkę — w wiosnianym dni kwiecie ; W borowej
zaciszy wyrosło to
dziecię,
Jak chmielu gałązka, gdy wić się poczyna; Lękliwa i zwawa jak leśna
ptaszyna, Jak

leśny przyłaszczek błękitne jej oko — A duma poważnie — a wzdycha
głęboko —
Czuwała przy mojej Łazarza pościeli.

Jak leśna wiewiórka póki się ośmieli,
Od wzroku truchleje, od ręki ucieka,
I znowu ci w oczy pogląda zdaleka, I znowu się zbliży, i zwolna och!
zwolna
Oswoi się z człkiem figlarka swawolna, Poczyna igraszkę — a
czasem gdy łaska
Na ramię ci wskoczy, oblicze pogłaska,
I znowu ucieka, po drzewach się wspina.
Tak samo nieśmiała, pierzchliwa dziewczyna Wlepiała mi w oczy
wzrok pełen
rozkoszy; To coś ją przynęci, to znowu odpłoszy.
Nie chciałem o serce dobijać się młode, I wzrokiem zbrodniarza
zatruchać
swobodę. Niewinnych jej dumań.
Bywało gdy święto, Ja siedząc oparty o kłodę wyciętą, I z twarzą
pochmurną jak
dusza skalana, Modlitwę pokuty zasyłam do Pana: A ona swobodna jak
motyl
skrzydlaty, Wybiega do lasu w jagody, po kwiaty, Zatrzyma się przy
mnie, popatrzy
mi w oczy, I głowę opuści, oblicze zamroczy,

Poduma — i z trwogą aż cofnie się zbladła, Jak gdyby głąb' piersi
mordercy
odgadła.
Bywało z siekiera gdy ręka mi słabnie, Gdy skiby z pod sochy ścielą
się
niezgrabnie, Gdy kosa nierówno uderza po trawie, Śmieje się
dziewczyna i pyta

ciekawie: „Ej Kuźnio! — kto jesteś? i z jakiej ty strony? Jak starzec
posepny, jak
szlachcic pieszczony — Prawdziwe chłopaki to u nas nie tacy: Ochoczy
w zabawie, a
dzielni do pracy. Czy wiesz co? zapomnij twej wioski dalekiej, Tu
zostań na
długo.... na długo, na wieki, A wtedy obaczysz... odżyjesz w tym
lesie: Tu praca i
siłę i zdrowie przyniesie; Tu będziem pracować, tu będziem się
śmieli, Dla ciebie
tu zdrowiej, a dla nas... weselej.” — „Pozostań tu z nami — raz mówił
Hrehory — Ja
codzień to gorzej i stary i chory, I w lesie i w chacie coś idzie
nieskładnie, A
jak ty odejdiesz i ten ład przepadnie! Ot ja ci poprostu swe myśli
odkryję: Marya
cię lubi — ty lubisz Maryę,

Choć, widzisz... pustota jej trzyma się głowy,
Ty mruyczysz - poważnie jak niedźwiedź borowy;
Lecz widzę was dobrze.... czy w polu, czy w chacie,
Wy sami nie wiecie, że wy się kochacie.
Więc przyjdźcie tu do mnie, o zgodę poproście,
Pódziem się pokłonić we dworze Staroście ,
Wyprawim sowite wesele i tany,
I będiesz mým synem, mój Kuźnio kochany.
Ty strzelasz niezgorzej, widziałem już proby,
A ja ci przekażę myśliwskie sposoby,
I strzelbę żwirówkę, poczciwe narzędzie —
Zostaniesz tu strzelcem... i dobrze ci będzie."

XVIII.

Tak mi mówił Hrehory — a jam zdrętwiał cały, Uśmiechnąłem się
niby, i łzy się

połały, I w głąb' mojego serca zajrzałem z obawą: Och, jam kochał
Maryę! — Ale
któż dał prawo Temu posiadać szczęście niewinne młodziana, Czyja
przeszłość
zbrodnicza a dusza skalana?

Jam zatrął cudze szczęście — ach! tam w mojej włości Płynęła krew
niewinna, płyną
łyżę żałości! Tam, gdzie syna kmiecego zgładziłem ze świata, Ojciec,
matka,
przeklestwy do Niebios kołata; Gdy na mnie piorun Boży gotują ich
żale, Jażbym
tutaj o szczęściu śmiał myśleć zuchwale? Nie... ucieknę! ucieknę do
mojego siola
, Jak mi kapłan rozkazał, jak sumienie wola. Rzucę herbowną pychę... o
dosyć jej,
dosyć! Dziś umiem, dzięki Bogu, i orać i kosić, Już zapomnę, żem
rycerz herbowny,
bogaty, Zastąpię starym kmieciom podporę ich chaty... Och! i tego
zamało gwoli ich
pocieszę: Zastąpię wyrobnika — lecz syna nie wskrzeszę!

XIX.

Gdy takie myśli Bóg we mnie budzi, W nocy uciekłem od dobrych
ludzi, Wszedłem z
lasu, choć poniewoli; A serce bije, a dusza boli:

Bo w lesie szczęście moje zostawa;
Ale ofiara wielkie ma prawa.
Widzę przed sobą, widzę zaiste
Drogi cierniste i krzemieniste —
Lecz nawet z bolu jęknąć nie mogę.

O ! któryś odbył krzyżową drogę,
Na mojej drodze wzmocnij mię, Chryste,
Na szczyt Golgoty!— nierówna miara:
Bo tam za ludzkość święta Ofiara,
Tam był Miłości przykład jedyny,
Tu jeno własnej zgładzenie winy.
Że sercu ciężko? och, to rzecz błaha!
Przeklęstwo temu, kto się zawaha!
Kto swą powinność spełnić się złąknie,
Kto pod ciężarem krzyża zastęknie!

XX.

Tak świętej powinności przejęty zapalóm,Do rodzinnego sioła pieszo
wędrowałem;Z
kijem, z torbą obszedłem okoliczne strony,Niby żebrak roboty i
chleba
spragniony.

Zwiedziłem dom ojczysty — co zmian w krótkiej chwili!Nowy
dworzec postarzał,
rodzice nie żyli,Moja siostra władała i dworem i siołem;
O mnie mówili ludzie, że w boju zginałem;Młodszy mój brat przed
Królem stanąwszy
przytomnie,Chorażowstwo Połockie odziedziczył po mnie.
W domu ojców nie zgadli, kto snadź ten ubogi,Własny brytan
myśliwski szarpnął
mię za nogi,A nawet mnie nie poznał ni z twarzy, ni z mowyStary
szafarz — mój
niegdyś luzak obozowy;On popatrział mi w oczy, na twarz, na
łachmany,Podał mi
chleb razowy i szeląg miedziany,
I westchnął stary kamrat pancernego znaku:
„Za duszę Kaźmierzową pomódl się żebraku !"
Rzekł, i odszedł powoli.
O strono domowa!

Więc tu jeszcze ktośkolwiek moją pamięć chowa! Ale nikt mię nie
poznał — czy
twarz moja blada? Czy czarna gęsta broda, co na piersi spada? Nie
odgadli żebraka
w progach jego domu, A jam się nie dał poznać nikomu.... nikomu.

XXI.

„Poszedłem do mej wioski— co tu zmian mój Boże! Jedną chatę
wzniesiono a druga
się wali.— Siadłem w izbie karczemnej, przy progu, w pokorze; Był to
wieczor, a
ludzie z pola powracali. I zaszło tutaj kilku starych gospodarzy: Jeden z
kosa, ów
z cepem — usiedli za stołem. I jeden do drugiego przepija i gwarzy;
Ja pilno słuchać począłem, I zadrzałem: bom poznał starego
Marcina, Któregom
osierocił w moje dni junacze; Dziad postarzał, posiwiał, garbić się
poczyna, Oczy
mu krwią zabiegły, znać, że często płacze. On przy czarce, przy lulce,
w kole
towarzyszy, Rozpłakał się, gdy staro opowiadał dzieje: „Ej kumie
Mikołaju ! Bóg
widzi i słyszy, Co ja codzień wycierpię, co ja łez wyleję! Ej, Pan
Kazimierz
Korsak, niech Bóg nie pamięta, Pokrzywdził mię... wyplenił mój ród na
tej ziemi —
Ot, kumie! jużbym dotąd piastował wnuczeta, Jużbym dziś,
wyreńczony rękami
młódszemi,

Wypoczywał na starość i cieszył się dziatwą. —
O stare moje lata! o doloż ma licha!
W lat sześćdziesiąt pracować... nie łatwo , nie łatwo!

Czoło z potu, a oko od łez nie wysycha...
Hej , panie gospodarzu! gorzałki przynieście!
Wypiję, to mię jakoś orzeźwi, odmłodzi.
Możebym rozżalony przeklinał nareszcie
Zabójcę mego dziecka — a to się nie godzi;
Już i tak on skarany za zbrodnicze dzieła,
Poszedł rachunek z Jankiem odprawić do grobu,
Jednego i drugiego kula niemięła;
Niechże Bóg nad duszami zlituje się obu!
Kumie, w ręce Waszmości! czarkę jeszcze wzniosę
Na szczęśliwe skonanie!" — Stary wypił szczerze;
Wstał, zarzucił na plecy swe grabie i kosę
I powłokł się do domu szeptając pacierze.

XXII.

„Śladem za nim poszedłem aż do jego chatJa, dziedzic włości bogaty,

I niby to zdaleka przechodzień, sierota,
Zakołatałem we wrota;I prosiłem ze łzami, by starzy kmiotkowie
Dali przytułek mej głowie:„Ja mam silne ramiona i serce ochocze,
Ja was staraniem otoczę,Ja się pracą wywdzięczę za przytułek w
chacie,
Wszakże wy syna nie macie, I ja jestem sierota — wy dla mnie na
świecie
Ojcem i matką będziecie.Ja ujmę w młodsze ręce twoją starcze sochę!
A chleba i strawy trochę,Trochę czułego serca niech litość przeznacza
Dla nieszczęsnego tułacza."Tak mówiłem — prostota i łza moja
szczera
Pocziwe serca otwiera.Popłakali się starzy, ofiarę przyjęli,
Siedliśmy za stół weseli;A przy skromnej wieczerzy wieśniaczka
zgrzybiała
Kiedy mię synem nazwała,Uczułem taką radość, taki spokój żywy,
I byłem taki szczęśliwy,

Jakby sam Bóg zawołał kojąc me rozpacz: „Kaimie, ja ci przebaczę!”

XXIII.

„Już siódmy rok się kończy jako u nich żyję, Jarzmo pracy rolniczej
włożywszy na
szyję. Razem z duchem ofiary wzmagała się siła chatnia gospodarka
w mych rękach
odżyła. Potem mojego czoła zlewałem zagony, I rodził grunt starannie
z chwastów
wypleniony; Pracowałem i ręką i sercem i głową, Pobudowałem chatę i
stodołę
nową. Ani na dworne miedze, ni na swoje pole, Nigdy bywało ojcu
ruszyć nie
pozwolę; Nigdy bywało matce praca nie dobodzie, Nie przyszło żać na
niwie, lub
kopać w ogrodzie. Jam pracował za wszystkich ile siła
zmoże; Odbierałem obelgi i
chłosty we dworze, Bo nikt się nie domyślał z całego tu grona, Ani
dworski
starosta, ni siostra rodzona,

Żem ja brat zaginiony, żem dziedzic ich włości.
Takem się ja za zbrodnię wypłacał ludzkości;
Tak, Ojczy Spowiedniku! wedle twojej myśli
Założoną pokutę spełniłem najściślej:
Widziałem wełnianą odzież jako noszą chłopi,
Przepasałem me biodra powrozem z konopi.
We własnej mojej wiosce ja dziedzic bogaty,
Szedłem za wyrobnika do sierocej chaty,
I rodzicom ich syna zastępując szczerze,
Poświęciłem się cały sosze i siekierze.
Oto po siedmiu leciech, po mozolnej pracy,
Przyznali mię za syna zgrzybiali wieśniacy,
Oto ci całe życie wyznaję swobodnie,

Xieże! w Imię Chrystusa odpuszczaj mi zbrodnie !
Czuję, że życie moje chwilami się liczy: Piersi moje osuszył kaszel
suchotniczy, Słowa, któremi moje otwieram ci rany, To ostatni wysiłek
piersi
skołatanej. Nikomu nie powiadaj, kto jestem, kto byłem; Srodze
pokutowałem, bo
srodze zgrzeszyłem; Tu niemasz bohaterstwa ni wielkiej zasługi —
Gdybym żył drugie
życie, jeszczebym raz drugi

Odbył taką pokutę w pokorze i skrusze,..O Boże, chciej przygarnąć
bolejącą duszę
!.."

XXIV.

Chory przestał już mówić — a ciekawa rzesza Pogląda nań z boleścią
ściskając
ramiona — Spowiednik rozgrzeszenia modlitwę pośpiesza
Dopóki Łazarz nie skona. Ale jeszcze nie skonał, jeszcze się
porusza, Kaszlnął
krwią, podniósł oczy i cichemi słowy: „Ojcze!... matko!...
przebaczcie!...” i już
jego dusza
Stoi przed sądem Jehowy. Z duszą jego jęk starców poleciał ku
Niebu; Zapłakali
sąsiedzi, których dzielił pracę, Jezuita spłakany wywiódł pieśń
pogrzebu:
O requiescat in pace!

XXV.

Kazimierz Korsak śpi w wiejskiej mogiłe
W chłopskiej sukmanie — a jak tego życzy,

Jego ród pański i poświęceń tyle,
Wszystko ukryte w ciszy tajemniczej.
Tylko Podolec dla przyszłej pamięci
Rzecz całą, w aktach zapisał w klasztorze,
I stary Marcin domyślał się może,
Bo gada z sobą i głową coś kręci,
I na mogiłę, chodzi co poranka
Kędy dwa groby i Kuźmy i Janka.
I wkrótce ludzie wykopali zblizka
Dla dwojga starców piaszczyste mogiły.—
Zielskiem zarosły cztery grobowiska,
I cztery krzyże z latami zegniły.
W wiosce czas jakiś gadano jedynie
O młodym Kuźmie, co przybył w te strony,
I jakby cudem Bożym nawiedzony
Ostatnią spowiedź odbył po łacinie.

XXVI.

Może w końcu gawędy ciekawi jesteście,
Co z Hrehorym? co z Maryą stało się nareszcie?
Czy w lesie gdzie pracował, gdzie przeżył niemało,
Jakiegokolwiek wspomnienie po Kuźmie zostało?
Och zostało wspomnienie !... tu od chaty blisko,
Mchem borowym porosłe proste grobowisko;
I w sercu Hrehorego niezgojona rana,
I w starych jego oczach łza nieprzeplakana,—
Jak woda co z pod góry wyciska się z cicha,
Spada jeno kroplami, ale nie wysycha.
Gdy Kuźma zginął z chaty, był popłoch niemały,
Mniemano, że go zwierze w lesie rozszarpały,
Mniemano, że na puszczy zabłąkał się może,
Lub że biedny utonął w pobliskim jeziorze.
Hrehory wzywał ludzi, błąkał się po kniei,
Wołał — i w róg wołowy trąbił po kolei,
Lecz na całe wołanie, na odpowiedź całą,

Tylko w sosnach borowe echo odhukało,
Hrehory przestał szukać,...

A biedna Marya
Rozpaczliwem wołaniem wciąż niebo przebija,, Kuźmo! Kuźmo!
gdzie jesteś!" wola w
puszczę głuchą, Tamuje oddech w piersi i natęża ucho, Kędy echem
pustynia odezwie
się dzika, Ona biegnie w tę stronę — i znowu wykrzyka, A gdy w jęku
i biegu
opuszcza ją siła, Głos gdy drętwiał, a usta spiekota paliła, Ona tchem
gorączkowym
chcąc orzeźwić łono, Przypada w dzikie chwasty i trawę zieloną; I
zrywa się, i
bieży obłąkane dziecko,, Kuźmo! Kuźmo gdzie jesteś ? odezwij się
przęcię!" Przedziera się przez chwasty, to jęczy to klęka, Modli się
padłszy na
twarz — aż łzami przesieka Mech borowy, i ziemia wilgotna i
trawa, — A z ziemi
chłodem wionie — lżej sercu się zdawa.
Po czterech dniach, upadła w boleści i trudzie, O trzy mile od chaty
znaleźli ją
ludzie: Zbladły lica na których kwitł rumieniec żywy, W rękach
ściśnięte kwiaty i
dzikie pokrzywy; Mniemali że umarła, bo blada i milczy, Tylko w
błękitnych oczach —
blask dziki jak wilczy

Migoce, zdradza życie co już gasnąć zacznie, A poczerniałe usta coś
szepcą

dziwacznie.

Przysłuchali się ludzie: och znajome słowo! Dziewczyna śni wesele,
śpiewa pieśń

godową, Że niby - to ją Kuźma po imieniu woła, Że niby - to ją družki
wiodą do
kościola.

XXVII.

„Słonko niedzielne świeci, Świeci jasną pogodą — Ojczyce błogosław
dzieci! Już mię do
ślubu wiodą.

Na dworze gości roje — Tam i lubego zoczę, Družki, wy siostry
moje, Spieszcie mi
pleść warkocze!

Kieruj pod cmentarz konie: Pod cmentarz družbo miły! Ja matce się
pokłonię, Przeżegna mię z mogiły!

Z ruty zielony wianek Na moją głowę włoży, — Ej Kuźmo, piękny
ranek Piękną nam dołę
wróży.

Ej śpieszcie lasem, błonią, Bo droga nam daleka! W kościele dawno
dzwonią, Xiądz
przed ołtarzem czeka!"

XXVIII.

Tak szepcząc, jęcząc piosnkę — skonała po chwili,
Struchleli dobrzy ludzie co świadkami byli;
A piejąc Anioł Pański družyną gromadną,
Ojcu odnoszą zgubę i na ławic kładną. —
Stary ojciec nie płakał, tylko ruszał głową,
Milcząc wyciosał mary i trumnę jodłową;
Wykopał sążeń jamy na jej trumnę drobną,
A xiędzu dał na dzwony i na mszę żałobną,
I garść piasku nasypał dziewczęciu na oczy;
Grób ją z lubym zjednoczył — czyż Pan Bóg zjednoczy?

Lipiec .Borejkwoszczyzna.

Pan Marek w piekle.

PAN MAREK W PIEKLE,

(Przypowieść szlachecka).

I.

Panie Jakóbie! Canonica hora
Żyjemy z sobą nie dziś i nie
wczora, Byliśmy razem
smutni i weseli, Razem miód pili i razem krew leli;
Co zjedli soli,
nieprzemierzyć
korcem, Snuli się niegdyś pod jednym proporcem
Po całym świecie jak
po piekle
Marek — Toć miło razem wychylić pukarek;
Da Bóg na starość
pocieszyć się
zdrowiem! Ja ci o Marku przypowiastkę powiem:

II.

Ten Marek — słuchaj Jegomość Dobrodziej — Jak się nazywał i z
kogo się
rodzi, Jakiego herbu używał w sygnecie, Nic nie wiadomo — a świat
różnie
plecie. Lecz był to szlachcic — mimo szlachty braci, Z wielkim się
domem jakoś

koligaci, Nie już po mieczu doszedł parenteli, Lecz się poplątał
więzami z
kądzieli. Co mu tak serce próżnością rozłechce, Że z drobną szlachtą i
gadać już
nie chce; Szlacheckie dwory omijając zdala, Jeno się pany możnemi
przechwala. Zamiast zajadać z dziatkami i żoną Szlachecki barszczyk
ze schabą
wędzoną, I pijać piwko co się w kuflu pieni, Pan Marek wzdycha do
pańskiej
pieczeni, I do ukłonów stare kości zgina By spijać męty pańskiego
węgrzyna. Na
chudej szkapce, z szabelką u pasa, Z zamku do zamku ustawicznie
hasa:

Tam pan kasztelan wyprawuje gody,
Tam imieniny pana Wojewody.
Gdzie brat choruje, tam go ani proście, On spieszy leczyć ogary
Staroście;
Dopieroż patrzaj jak wyciąga szyję I jasnym panom prawi oracye,
Jak ich wywodzi od dziada, pradziada,
Jak submittuje i do stóp się składa —
A jasne pany, zwyczajnie jak pany,
Szlacheckim plecóm aie skąpią swej ściany,
Rzekomo szlachtę przyjmują z rozkoszą,
Na szarym końcu do stołu poproszą, Tam przypochebiaj , znoś
urągowiska, A przed
sejmikiem pan za to uściska,
A na sejmiku swojej sprawie gwoliłeb na szablicę nadstawie
pozwoli; Oberwiesz
kresę, to ją znoś w pokorze — Panie Jakóbie! czyż nieprawda może?

III.

Już - to po prawdzie, gdy się człek obliczy, My szlachta lubim ten
chleb
służebniczy,

Radziśmy w pańskiej ujarzmiąć się sosze, Ten mniej, ten więcej, a
wszyscy po
trosze. Ale pan Marek w pochlebstwa ferworze Uboższych nie miał za
stworzenie
Boże; Tylko w gospodzie, przy szlachcie poziomej Lubił wyliczać
senatorskie domy, Z
któremi mimo dziurawej opończy, Albo przyjaźnią, albo krwią się
łączy,
Z którymi żyje tak za - panie - bracie Jakby sam krzesło zasiadał w
senacie. Pan
Marek ginął, ciesząc się że ginie, Przyjmował pany w ubogiej
wioszczyńce, Rad gdy
zapasy grosza i spiżarnie Zjadały pańskie pacholki i psiarnie; A nigdy
w imię
braterskiej równości Kowieńskim lipcem nie uraczał gości. Jeno nie
bacząc, staje
czy nie staje, Sprowadzał z Węgier kosztowne tokaje, I (co podanie
wiarogodne
ręczy) Jakby w kościele palił воск jarzący. Kominek doma był prawie
nieznany, Wstyd przy ognisku biesiadować z pany.

A głupie zdanie — od świecy jarzącej
Kominek światła i ciepła ma więcej.
A kiedy buchnie, zahuczy wystrzeli, Ludzie chcąc niechcąc muszą być
weseli;
Zwłaszcza gdy wtórzy do ognia wybuchu
Brzęk szklanic miły szlacheckiemu uchu,
Rodzą się dumki, gawędki, przezdrowle!
Panie Jakóbie! czyja prawdę mówię?

IV.

Prawda? więc jeszcze brząknijmy w puharek! Co ja mówiłem?... otóż to!., pan
Marek, Lekce szlacheckie poważając rzesze Czepia się panów i ku ich pociesze
Nie
szczędzi karku, trzosa i oreża, Odłuza wioskę, zdrowie nadwreża; Przyszła choroba
— po krótkiej chorobie Umarł nieborak i położon w grobie. Tu nikt nie płakał u
grzesznego ciała, A tam się — dusza do piekieł dostała;

Czy mówiąc grzeczniej (jeśli taka wola)
Poszła na święte Elizejskie pola.
Tam się ognisko niezgasłe rozpala,
Męki Danaid, Syzyfa, Tantalą,
Obaczył Marek z przerażoną twarzą.
Ale iż głupców tak srodze nie karzą,
Więc go strażnicza dopuściła władza
Gdzie orszak zmarłych cieniów się przechadza.
A był to ogród cienisty, szeroki,
Zawierał gruntu trzy lub cztery włoki,
A kędy lasek, czy kwiecista łąka
Gromada cieniów swobodnie się błąka.
Nie jeden z cieni stając przy sąsiedzie
Macha rękami — snadź rozhovor wiedzie;
Ciała nie widać, lecz kędy cień głowy
Gwar się rozlega poważnej rozmowy.
Pan Marek myśli: „Ha! tu jak na ziemi
Człek się nagada, będzie żyć ze swemi,
Jeno potrzeba po dworsku i gładko
Z jakich się panów połączyć gromadką.
Ot, kilka cieniów toczy się jak płynie,—
Znaczno po minie, znaczno po czuprynie,

Co to za ptaszki i jakie ich pierze: Wojewodowie, Hetmany,
Kancelerze! Jeden cień
mówi — ho! poznaję z mowy, To pan Wendeński starosta
grodowy! "Pomyślał Marek i
bieży doń prosto: Powolne służby dostojny Starosto!" I cień swej ręki
— jak za
dawnej chwili Do cienia kolan Starosty uchyli; Lecz się Starosta nie
odkłonił
wzajem, Tylko zachrzęknął pańskim obyczajem, I odszedł dalej
nachmurzywszy
lica, Jakby nie widział i nie znał szlachcica., „Dzisiaj Starosta w
niedobrym
humorze! Ot, pan Kasztelan — przywita się może;" Pomyślał Marek, i
przed cieniem
stanie: „Powolne służby, Mości Kasztelanie!" I cień swej ręki, jak za
dawnej
chwili, Do cienia kolan kasztelańskich chyli; Ale i tutaj nadaremna
praca: Kasztelan spójrzył i wstecz się odwraca. Więc Marek dalej —
wciąż snuje się
dalej, To Wojewodzie powitanie pali,

To Hetmanowi swój afekt wymierza, To się przysunie do pana
Kancelerza, Aż łamie
ręce — nadaremna rada Bo żaden z panów i słowa nie gada, Choć
między sobą, gdy
się w kółko zgarną, To słychać śmiechy i rozmowę gwarną. Simili
gaudent — każdy
równej głowie — Panie Jakóbie! czy to złe przysłowie?

V.

Marek w rozpaczy — boć to męka szczerza, Język się gwałtem gawędki
napiera, I
wszyscy gwarzą, i wszystkim tak błogo, On nie ma słowa wyrzec do
nikogo., „No, —

myśli sobie — po takiej nauce, Już ja do panów nie rychło powrócę. Ot
tam pod
cieniem cedrów i oliwy Szlachecki sejmik — ale jaki żywy! Jaki
gwarliwy! po
zakroju znacznie, Że zaraz bić się i zapijać zaczną.

Do szlachty, Marku! do swoich podążym:
Tu Cześnik żwawo rozprawia z Chorążym,
Wojski ze Skarbnym do bitwy stanęli,
Już się krzyżują cienie karabeli,
A Rejent znacznie już cięty potrosze
Woła do szlachty: uciszcie się proszę!
Oto pan Miecznik naprzeciw mnie kroczy.
Czołem Mieczniku!" — rzekł Marek ochoczy.
Ale Ensifer — z kąd taka niełaska?
Wąsa zakręcił, czuprynę pogłaska,
I rusza dalej nasrożywszy lica,
Jakby nie widział, nic słyszał szlachcica,
Czegoś nie wesół — niech sobie się złości.
„Panie Rotmistrzu, mój pokłon waszmości!”
Zawołał Marek; ale próżna praca,
Rotmistrz pomruknął i wstecz się odwraca.
Więc Marek dalej — wciąż snuje się dalej —
Czy go nie widzą? czy go nie poznali?
Kogo powita, do kogo zawoła
Wszyscy od Marka odwracają czoła,
Kogo chce ścisnąć — wymyka się ręka,
Napróżno woła, zaklina, ukłeka

I błaga cieniów: „Szlachcicowie mili!
Byście choć słówko przemówić raczyli,
Przyjmijcie brata, nie karzcie surowo!”
Lecz cienie tylko potrzęsają głową;
A gdy upada, gdy do nóg się ściele,

Oni wzgardliwie brzęczą w karabele.
Ot jak mu płacą — i dobra zapłata:
Bo kto się hardo wymykał od brata,
Niechaj na zawsze odrzucon zostanie.—Panie Jakóbie! czy to słuszne
zdanie?

VI.

—„Niech lichy bierze szlachtę od Waszeci,Na złość herbownym
przystanę do
kmieci!"Zawołał Marek już zły co się zowie.— Tam wedle zdroju
siedzieli
kmiotkowie.Kiwa coś głową pracowita tłuszcza,
I z krótkich lulek dym kłębem wypuszcza.A cienie gwarzą: „Ej, panie
sąsiedzie!Bóg raczy wiedzieć jak dziatwie się wiezie,Za naszych
czasów głód
pukał do chatek,Na święty Marcin i czynsz i podatek,

A grunt jałowy nie użyźnić pracą,Boże, mój Boże, czemu oni
wyplacą!?"Tak sobie
gwarzą ubodzy włościanie.Gdy się pan Marek zbliżył
niespodzianie.Ale na widok
pańskiego kontuszaCała gromada z miejsca się porusza,Kłania się
nizko przed
obliczem panaI wstecz ucieka jakby rozegnana.Bo widzisz Aspan, że
chłopska
gromadaSercem ze szlachtą dzielić się nie rada,Wie żeśmy o nich nie
wielce
ciekawi,Czy złe, czy dobre, w głębi serca dławi.Bo taki narów już
mają
ludziska:Trzeba zasłużyć nim ufność się zyska,Współczucie bywa
współczucia
zapłata.—Panie Jakóbie! a co Waszeć na to ?

VII.

Marek zębami aż zazgrzytał wściekle, Dalej a dalej snuje się po
piekle, Od
chłopskiej cizby ucieka na stronę, Gdzie chodzą pany Jaśnie
Oświecone.

Gdy jasne pany gadać z nim nie raczą, Znowu się kryje za cizbę
wieśniaczą, A kiedy
kmiotki uciekają przed nim Idzie się kłamać szlachcicom
sąsiednim; Lecz
odepchnięty od szlachty i kmieci Nanowo panom swe służby zaleci.
Gdy tak się
snuje od grona do grona, Mijają lata, wieczność nieskończona,
Wszyscy się cieszą ze swemi w gawędzie, A Marek wiecznie
pokutować będzie Od
wszystkich spotkan szmerem pośmiewiska, Nikt go nie pozna, ręki nie
uściska, Żaden
go z braci nie uzna za brata.—Panie Jakóbie! czy słuszna zapłata?

VIII.

Pewna pobożna niewiasta w klasztorze, Miewając we śnie objawienia
Boże, Między
innemi widziała w zachwycie Marka po śmierci opłakane życie;—Jako
na siostrę
zakonną przystało, Słowo do słowa historyę całą

Spowiednikowi wyznała przy kratce, Potem do ucha przełożonej
matce, Potem
siostrzycom— przez usta niewieście
O Marku w Piekło zagadali w mieście
I w całym kraju; a na tej osnowie Pomiedzy ludźmi powstało
przysłowie: Że kto się
snuje od kąta do kąta Mówią: jak Marek po piekło się pląta. "Ludziom
śmiech tylko

— niech śmieją się zdrowi. A tam boleśno, boleśno
Markowi Wypolecznienie od
swoich ponosić.

Ej, u nas takich grzeszników jest dosyć! Niech Bóg im chętkę
pochlebstwa odbierze

—Panie Jakóbie! zmówmy trzy pacierze.